Nr 1. Poznań, dnia 1. Stycznia 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo $1^1/_2$ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

BOŻE NARODZENIE

przez

K. Wł. Wójcickiego.

(Z ryciną.)

W całéj Polsce do największych uroczystości obchodzonych zarówno w domach zamożnych jak pod skromną słomianą strzechą wieśniaka, liczą się święta Bożego Narodzenia i Wielkanocne. Do pierwszych bowiem, zamykających rok czasu, przywiązaną jest pamiątka narodzin Zbawiciela, do drugich Jego męczeńskiéj śmierci i Zmartwychwstania.

Kościół nasz katolicki obchodzi dnie te uroczyście i okazale, a lud do nich przywiązał zarazem szczątki dawnych obrzędów, które bliżéj badając, widzimy że są to zabytki z doby przedchrześciańskiéj.

W kraju jak naszym rolniczym, gdzie przemaga charakter łagodny, a stara gościnność i braterska miłość między ludźmi, dzięki Bogu niezagasła, gdzie życie rodzinne, w całym blasku jaśnieje — a domowe ognisko otoczone serdecznym współczuciem, ciągle jednakowo goreje: święto Bożego Narodzenia, daje sposobność ten charakter narodowy w całéj sile okazać.

Doba to dla każdego rolnika i ziemianina, odetchnienia po pracy całorocznéj. Pola puste, nieraz pokryte śniegiem, czas wietrzny i mroźny, zmusza kółka rodzinne do zamknięcia się w swych gniazdach przy kominkowym ogniu: i tu wieść życie więcéj skupione po za domowemi progami. Święta Bożego Narodzenia zamykające porę Adwentu, otwierają chwile radosne i wesołe, bo zapust, albo Mięsopustu, zwanego z cudzoziemska Karnawałem.

Przywiązane do nich obrzędy i zwyczaje, jakkolwiek przez wpływ czasu, ogólną niedolę i — lekkomyślność, wiele ucierpiały, pozostałe jeszcze zajmujący dają nam obraz — który złotemi pasmami tradycyi wiąże teraźniejszość z dawną upłynioną przeszłością.

Na całych obszarach dawnéj Polski, — czy to na piaszczyznach starego Mazowsza, czy w pszennéj glebie Sandomierskiéj i Krakowskiéj, czy w równinach polno-lesistych Żmudzi, Litwy i Rusi, zapadłego Polesia, zarówno jak w dawnéj ziemi Wielkopolskiéj, jak na Podolu i Ukrainie, z jednaką tęsknotą i niecierpliwością oczekują pojawienia się owego zmroku w dniu Wigilii Bożego Narodzenia, ażeby na niebiosach ujrzeć pierwszą gwiazdkę, przypominającą przed XIX wiekami przyjście na świat Zbawiciela!

Zarówno po miastach jak wioskach przed Wigilią, pasterze duchowni rozsyłają opłatki czyli chleb, na którym ofiara mszy świętéj się ofiaruje, a który lud kolędą nazywa. Zabytek to z pierwszych wieków chrześcijaństwa, kiedy wierni zbierający się na mszą św. przynosili z sobą chleb do ofiary, z którego kapłan brał tyle tylko ile do Konsekracyi potrzeba było, resztę zaś, lub jaką część z niego pobłogosławiwszy, rozdawał przytomnym w kościele,

osobliwie tym, którzy w czasie mszy do kommunii nie przystępowali. Prócz tego, chleby te poświęcone, biskupi i kapłani wiernym do ich domów jako duchowne podarki rozsyłali, na znak jedności braterskiéj, wzajemnéj miłości i duchowego ich połączenia. W téj to myśli i dzisiejsi pasterze Opłatki czyli kolędę rozsyłają.

Wyrobem tych opłatków zajmowały się zwykle klasztory, a głównie organiści po parafiach, co stanowiło niemały dla nich dochód.

Dzień poprzedzający uroczystość Bożego Narodzenia, nazywamy Wigilią. W tym dniu pierwsi chrześcijanie po całodziennym poście i wysłuchaniu nabożeństwa, zwykli sobie w samymże kościele wyprawiać ucztę czyli Wilię, na znak radości, że doczekali szczęśliwie téj rocznicy, w któréj zarówno ubogi jak bogaty jednakowy brali udział.

Uczta takowa nosiła w owe czasy nazwę Agape z greckiego, co oznacza ucztę miłości; albowiem jéj celem było zaszczepienie między ludźmi u stóp ołtarza zgody, jedności i miłości braterskiéj, a wykorzenienie dumy i pogardy bliźnich, jako niezgodnych z zakonem Chrystusa. W wiekach jednakże następnych, gdy skromność ich pierwotna skażoną została zbytkiem i nadużyciem, usunięto z kościołów i uczty Wigilii przeniosły się za progi domowe.

Post wszelako pierwotny przez dzień cały zachował się dotychczas. W każdem kółku rodzinnem w dniu tym ruch niezwykły panuje: gospodynie zajęte przygotowaniem postnéj uczty wieczornéj, albowiem post kończy się dopiero o dwunastéj z północy.

W izbie jadalnéj wcześnie stół zastawiony, zaściełają sianem na pamiątkę, że Zbawiciel urodził się w stajence Betleemskiéj. — Kiedy pojawi się gwiazdka na niebie, — w ówczas przychodzi chwila Wigilii. — W dawniejszych czasach, patryarchalnie z ludem żyjąca szlachta, bo związana z nim jedną religią, przechowywała jedne zwyczaje. I w dworku modrzewiowym pana wioski, jak w chatce chłopka, izba w któréj stół zastawiono, zasłana była słomą. W jéj rogach stały snopki ze zbożem i prostą słomą, z których brano po dźble jedném i rzucano do góry, a z utkwionych po za belkami pułapu, różne wróżby czyniono. Gdy gospodarz przypadkiem biorąc kłosy w rękę, więcéj ich znalazł próżnych niż pełnych, to nieurodzaj przyszły miało oznaczać. Po wielu dworach zachowywał się jeszcze za naszéj pamięci ten zwyczaj, że stół łańcuchem opasywano, aby go się chleb trzymał, a żelazo płużne pod nim kładziono, aby robactwo i krety roli nie psowały. Przed samym rozpoczęciem uczty, gospodarz wraz z żoną, łamią się z obecnymi opłatkiem, życząc doczekania Dosiego roku, czyli żeby sobie w następnym roku znowu powinszować mogli zdrowia i pomyślności.

Wigilia zwykle w obywatelskich domach składa się z zupy migdałowéj, lub polewki piwnéj, z ryb gotowanych lub smażonych, kwaśnéj kapusty, i klusków z makiem. Stół zdobią nadto owoce przechowane jakby z drzewa, orzechy, i tak zwane bakalie, to jest mięszanina migdałów słodkich, fig i rodzenków. Niepoślednią gra tu rolę piernik, który zwykle służy za przekąskę po wódce. Dawniéj, kiedy stosunki handlowe łączyły z Gdańskiem i Toruniem, a zboże z niw polskich zasilało zamorców: słynne pierniki Toruńskie, musiały być w każdym dworze szlachcica.

Pod każdym nakryciem kładziono tajemnie rozmaite przedmioty, które następnie siedzący przy nim po uczcie wyjmował z siana, a ztąd mu wróżby robiono. Dziś ten zwyczaj po wielu domach jeszcze się przechował: a przedmiotami tymi są cukrowe serca, lalki drobne, kołyski, domki, albo też srebrne lub miedziane pieniądze; — ztąd przepowiednie miłości, urodzin, bogactwa, lub poprawy chudoby! — Po wielu wioskach gospodarz zaraz po skończonéj Wigilii, zabiera z izby przewiąsła od snopków, i w sadzie swoim obwiązuje niemi drzewka owocowe, aby lepiéj rodziły i niechorowały od mrozów. W innych okolicach z gniewném obliczem, z siekierą w ręku wybiega i grozi tym drzewom, które albo nierodziły, albo mało dały owoców, że ich zetnie i spali: a kiedy zamierza się ażeby spełnić swój zamiar, wówczas żona jego lub parobek prosi za niemi i ręczy że się poprawią: wtedy udobruchany, powrósłem każde okręca.

Na całéj Rusi w dawnéj Polsce, jak i teraz, główną i konieczną potrawą przy uczcie Wigilii jest Kutija, czyli pszenica gotowana do przepęknięcia i zmięknienia, zaprawna miodem i makiem. Smotrycki, Rusin rodem, podaje nam, że popi, chcąc lud swój zachęcić do starania się o zbawienie, Kutiją mu w niebie, jako codzienną i powszednią strawę obiecywali.

Pamiątkę urodzin Zbawiciela Kościół nasz stale oznaczył na dzień 25. Grudnia każdego roku. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa uroczystość ta przeciągała się aż do Trzech Króli, czego teraz zabytek pozostał tylko w nabożeństwach kościelnych i pacierzach kapłańskich. Dzień ten, rozpoczyna się nabożeństwem Trzech mszy, które kapłani jednę po drugiéj nie odchodząc od ołtarzy odprawiają. Zwyczaj ten, podług podań dziejów Kościoła, miał powstać z tego powodu, że w początkach chrześcijaństwa, w czasie prześladowania, kiedy ukrywać się musieli wierni, kapłani przechodząc potajemnie z jednego miejsca na drugie, z koniecznéj potrzeby po kilka razy na dzień, w różnych porach, najczęściéj w nocy, dla nawróconych Eucharystyą poświęcać czyli mszę św. odprawiać musieli. Sobór Selingstadzki w roku 1022, liczbę tych trzech mszy stanowczo określił. Poprzedza je zwykle, głównie w miastach naszych, msza tak nazwana Pasterska, o północy zaraz po Jutrzni odprawiana. Zebrany lud pobożną pieśnią obchodzi chwilę narodzin Zbawiciela. W dawniejszych czasach, czego ślady jeszcze po wielu miastach się zachowały, naśladuje śpiewy ptaków i odgłosy zwierząt, dla lepszego uwydatnienia owéj doby, gdy w ubogiéj stajence boska dziecina, zstąpiła na naszą ziemię. Wybrani byli po temu chłopcy po chórach, którzy już to własnym głosem, już przez odpowiednie przyrządy, wydawali te głosy, na znak radości całéj przyrody.

Od tego dnia, grywano jeszcze w XVIII wieku i na początku naszego komiczne dyalogi przez żaków przedstawiane: a po kościołach wystawiano Jasełka. — Od XII wieku powstał zwyczaj przedstawiać tajemnice wiary chrześcijańskiéj w formie dramatycznéj, ażeby je mocniéj

utwierdzić w pamięci ludu, który tego co niepodpada widocznie pod jego zmysły, łatwo pojąć niemoże.

Zabytkiem tych widowisk, tak żywo zajmujących przez kilka wieków następne pokolenia, pozostały Jasełka, czyli Betleem po kościołach wystawiane.

Przedstawiały one w figurach drewnianych lub papierowych, w dekoracyjnem otoczeniu, narodziny Chrystusa w żłobie spoczywającego, otoczonego św. Józefem, N. Maryą Panną, gronem Aniołów i pasterzy, oraz wołem i osłem. Dalej w wielkim orszaku jadących trzech Króli z hołdem do Zbawiciela.

Do najwystawniejszych Jasełek w Warszawie, za naszéj pamięci, należały pokazywane w kościele Bernardynów na Krakowskiem przedmieściu, które tłumy ciekawego ludu ściągały. Bywały i .ruchome jasełka, przy przybocznych ołtarzach, urządzano gatunek teatrzyku, na którym wszystkie figury ruch odpowiedni miały. Najwspanialszy był wjazd Trzech Króli na koniach i wielbłądach w okazałym orszaku.

Do tego rodzaju widowisk, jako zabytek dawnych Misterjów religijnych a przywiązanych do świąt Bożego Narodzenia, należy Szopka, która się pokazuje zaraz po Wigilii, i czas jéj trwania przeciąga się przez całe zapusty, aż do Popielca.

Pierwotnie treścią jéj było wyłączne przedstawienie narodzin Zbawiciela, rzezi niewiniątek, króla Heroda, jego śmierci, a następnie szczęśliwéj ucieczki Boga-Rodzicy z dzieciątkiem do Egiptu. — Że zaś Szopka wypłynęła z ludu, podług przeto swojego pojęcia, utworzył ten lud dramat pełen prostoty naiwnéj a rzewnéj. — Znający stare dyalogi, gdzie obok poważnych postaci, i śmieszne występowały figury, na przemiany; wprowadził i do swojéj szopki to urozmaicenie.

Przenośne te teatrzyki czyli Szopki, bo ich kształt miały, przedstawiały naprzód ubogą stajenkę w Betleem i leżące w żłóbku na sianie dzieciątko Jezus z otoczeniem jak w Jasełkach.

Pieśń kolędowa o Narodzeniu Chrystusa rozpoczynała. Zaraz za nią zaczynały pokazywać się postacie to wesołych chłopków, to dziewuch tańcujących, dziarski kozak ukraiński w przysiudach, Węgier z olejkami i czarownica masło robiąca. Następnie król Herod na wspaniałym tronie siedzący — wydaje rozkaz wycięcia wpień niemowląt — a gdy go spełniono, i otrzymuje wiadomość, że i jego syna zamordowano, przyzywa w rozpaczy śmierć, która też z kosą nieodstępną przybywa; głowę mu ucina, a djabeł porywa zwłoki Heroda do piekieł. — Kończy widowisko stary dziadek z woreczkiem żebrzący kolędy. —

Taka pierwiastkowa była Szopka, która dziś traci więcéj typowy swój charakter, przez zamienianie prostéj i otwartéj budki, w teatrzyki z kurtyną i kulisami, a zarazem wprowadzeniem postaci zupełnie jéj obcych.

Na Ukrainie z téj strony Dniepru, Szopka nosi tam nazwę Wertepu, i dotąd jeszcze w pierwotnym swym się charakterze otrzymała.

Od pierwszego dnia tych świąt, piękny istniał zwyczaj z rozporządzenia Soboru Piotrkowskiego 1628 roku wprowadzony, że każdy pleban, obowiązany był zwiedzać wszystkie domy swych parafian, obeznawać się z nimi, spisywać ludność i badać o naukę Chrześcijańską.

Kiedy pleban miał przyjść do wsi z kolędą, organista czyli Klecha wprzeddzień, uwiadamiał o tém mieszkańców, dzwoniąc od końka do końca wioski. Kapłan ubrany w szaty kościelne, dzwonkiem też ogłaszał swoje przybycie do każdego domu, i stanąwszy przed drzwiami izby, zaczynał pieśń kolędową z organistą i żakami, których brał z sobą; kończył ją przechodząc progi, po czém dawał krzyż do pocałowania mieszkańcom i na przygotowanym ustawiał go stole.

Po krótkiéj przemowie do domowników, o katechizm się pytał, słuchał pacierza i poczęstowany i obdarzony, do drugiego odchodził domu. Dwory okazaléj przyjmowały kolędujących plebanów, i nieraz przybycie kapłana, dawało powód do sutszéj uczty wieczorem w szlacheckim domu.

Kto z kim w wigilją łamał opłatek i życzył wzajemnie Dosiego roku, musiał mu być przyjacielem i żadnéj zawiści nie mieć w sercu. —

Pan Paweł Rymkiewicz i pan Piotr Płaza, żyli w serdecznéj przyjaźni, od lat pacholęcych, bo ich rodzice, o miedzę z sobą graniczyli. Byli oni w równym wieku i jak bracia się kochali. Rymkiewicz jako jedynak po ojcu został na rodzinéj grzędzie; — ale Płaza daleko się odbił od rodzinnego gniazda, tém więcéj, że gdy dla licznego rodzeństwa, niemógł dziedzictwa po ojcu w całości uchować, a nadto, pan Paweł potrafił zyskać pierwszeństwo w sercu panny Agaty Plichcianki i ją poślubił, biedny pan Piotr — poszedł w świat szeroki. Ale zanim porzucił gniazdo swoje, pałając z serdecznéj przyjaźni, gwałtowną nienawiścią do Rymkiewicza — wyzwał go na rękę, i głęboką naznaczył go kresą. — Rymkiewicz prędko wyleczył się z rany, bolał nad zaciętością swego niedawno przyjaciela, i poślubił Plichciankę. —

Lat wiele upłynęło od owéj pory. Płaza odbił się aż w Krakowską ziemię; tu się ożenił, doszedł dobrego mienia, ale miał złą dolę. Pomarła mu żona i pięcioro dziatwy, został sam jak kołek w suchym płocie; zatęsknił do stron rodzinnych, a korzystając ze wczesnéj dobréj sanny, z pachołkiem ruszył w okolice nad Bużne do dalekiego krewniaka, co mieszkał na małym folwarku, niedaleko Rymkiewicza. — Ale jak dobrze mówią: „Chłop strzela, Pan Bóg kule nosi.“ Nasz Płaza kiedy coraz bliżéj dojeżdżał do celu swéj podróży, a chciał podążyć na Wigilją Bożego Narodzenia, tym większa powstawała śnieżna zadymka. A trzeba wiedzieć, że gdy podróżnego złapie w drodze, módl się za jego duszę, aby tylko trafił gdzie do jakiejkolwiek chaty, ażeby nie zmarzł w drodze. Pan Płaza w tym był wypadku, że chociaż znał całą okolicę jak dłoń własną, teraz był jakby na stepie. —

„Źle Gawełku! mówił do swego pachołka — nierozeznasz Bożego świata! puszczaj konie na wolę, a one nas gdzieś do ludzkiego mieszkania zawiodą! — I stało się jak powiedział. Konie instynktem wrodzonym kierowane, wbiegły z sankami w opłotki, w którym Płaza z radością ujrzał na końcu dworek śniegiem ubielony i rzęsistą łunę bijącą z okien. —

Zaledwie wrota otwarte przejechał, zadymka ustała, jakby ją kto zaklął: — rozbiegły się chmury, księżyc wypłynął na pogodne niebo, rozjaśniło się pięknie i pan Piotr, z głośnym brzękiem swoich dzwonków stanął przed gankiem dworu. Wybiegła domowa czeladź zapraszając serdecznie gościa. Pan Płaza w dużéj sieni zrzucił futro niedźwiedzie, i wchodzi do obszernéj izby gdzie suty ogień gorzał na kominie kapiastym. Stół zastawiony do Wigilii gęsto świecami jarzącemi oświetlony, a przy nim z opłatkiem w ręku obok swéj już osiwiałéj małżonki, stał pan Paweł Rymkiewicz ciekawie ku drzwiom patrząc.

Nagle na progu staje Płaza: poznali się i zmierzyli groźnem spojrzeniem, dwaj zawzięci przez lat tyle przeciwnicy; ale Rymkiewicz nie tracąc przytomności, zawoławszy serdecznie: „Bóg w dom gość w dom“ zbliżył się szybko posuwistym krokiem do Płazy, podając mu opłatek do złamania. Płaza odurzony tém spotkaniem, niemógł w dniu takim odmówić przełamania opłatkiem: ale gdy usłyszał życzenie: Dosiego-roku, zachwiał się i oparłszy się o oddrzwia, serdecznym wybuchnął płaczem!

„Panie Piotrze! Piotrku! Piotrusiu mój!“ wykrzyknął Rymkiewicz, „to Bóg dobry zsyła mi tę pociechę i mojéj Agacie! patrz! ta ciężka kresa twojéj szabli na czole niezgojona, bo ślad jéj widoczny, ale serce cię moje kocha zawsze jak brata!“

Płaza na te słowa zawołał, hamując się z łez bobrowych: „Złamałem z tobą wigilijny opłatek — znów po staremu jesteśmy przyjaciółmi jak dawniéj!“

I rzucił się w jego objęcia!

Cóż to mój Boże była za radosna wigilja pod skromną strzechą Rymkiewicza. Płaza przesiedział całe święta aż do Trzech Króli; przed końcem zapust wyjechał do siebie, aby zdać krewniakowi swoje gospodarstwo; wrócił do Rymkiewiczów, u nich stale zamieszkał; córki ich trzy wyposażył, synom dał na wychowanie i biedną rodzinę suto zapomógł.

Obaj dożyli lat późnych, i widziałem ich w sędziwéj starości, jak społem się modlili, społem pracowali na jednéj niwie. Rymkiewicz wcześniéj umarł, ale Płaza nie mógł przeżyć téj straty... z tęsknoty poszedł za swym przyjacielem, a na ich mogiłach modliła się siwa jak gołąbek wdowa po panu Pawle!

(Dokończ. nast.)

PAŁAC I FOLWARK.

Obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

„Patrz że no, asindziéj — patrz, i powiedz mi czy jest co na świecie piękniejszego nad ten widok!“ mówił podżyły już ale pełen siły, energii i zdrowia, czerstwy, spokojnego oblicza mężczyzna w sukni duchownéj do młodego chłopaka, który dość obojętnie i zimno oglądał się po okolicy. Oba siedzieli na ganku, z szeroką wystawą ocienioną dwoma ogromnemi lipami, na probostwie, nieopodal od starożytnego gotyckiego kościołka. Na stole przed niemi, na tacce czarnéj zużytéj, stała para wytartych filiżanek, imbryczek kamienny od kawy i garnuszek podobny od śmietanki. Cały przybór był więcéj niż skromny, stary, otłuczony, biedny ale czysty. Gruba serwetka podesłana pod tacę, bułka zczerstwiałego chleba, odrobina masła na talerzu fajansowym, zapełniały resztę stolika.

Plebania, pod któréj gankiem siedzieli, była prawie tak dawna jak kościołek, a na tym, choć go znać restaurowano razy kilka, widać było ślady budowy końca XIV lub XV w. Z podań miejscowych wiadomo było, że świątyńka ta jedna z najpierwszych w kraju po jego nawróceniu, istniała już w XI wieku. Każde niemal sto lat coś do niéj dodało, zmieniało, przyozdabiało, domurowywało, aż póki w XVII w. nie wyrosła już taką jaką miała pozostać do dziś dnia.

O plebanii i mieszkańcy jéj dożywotni i dziedzice i parafianie nie bardzo myśleli i niewiadomo kiedy ją zbudowano, a od niepamiętnych czasów podpierano tylko i łatano byle się trzymała. Zwykli jéj posiadacze nie byli wymagającymi. — Stare dwie prześliczne lipy, od których cienia dach gnił po trosze, tak były piękne i miłe, że dla nich zapominano o ukrytém w ich gałęziach probostwie.

Z po za konarów, ponieważ domostwo stało razem z kościołkiem na małéj wyniosłości, rozwijał się widok na okolicę czysto nasz polski, którego jeszcze żaden komin fabryczny, żadna nieforemna zbytnią foremnością budowa nie psuła. Jak okiem sięgnąć widać było równinę uprawną, małemi poprzecinaną laskami... pola w szachownice, wioseczki między niemi, krzyże nad drogami, parę srébrnych stawków, sznur jasny rzeczułki co je łączyła, łąki zielone, a bliżéj małe miasteczko u stóp tego wzgórza, na którém był kościołek ze cmentarzem starym, obwiedzionym murem i plebania z ogrodem i sadem.

Dla młodego człowieka widok ten mógł nie mieć szczególnego wdzięku... bo mu nic nie przypominał, ale oczy starszych w tym hieroglyfie zielonym ile rzeczy wyczytać mogły, co tu było wspomnień, ile poezyi!

Młody człowiek potoczył wejrzeniem posłuszny rozkazowi, popatrzał i nic nie rzekł. Ksiądz śledził pilnie kierunek jego oczów, czekał zdaje się odpowiedzi, a nie doczekawszy żadnéj, wolniejszym głosem począł:

„Ja niewiem, moje dziecko, ja niewiem czém się to dzieje, że wy młodzi teraz nie czujecie nic i my starzy za was młodymi być musimy, bo by już na świecie niebyło tego co się młodością nazywa, a świat bez młodości jak rok bez wiosny na nic by się nie zdał. — Zapewne, może to wina nie wasza, ale nas cośmy takiemi wychowali.“ Westchnął.



Boże Narodzenie.

(Rysował na drzewie B. Łaszczyński; rytowano w drzeworytni Sobótki.)

„Czytałeś asindziej“ dodał, „żywot Mikołaja Reja przez Trzecieskiego? juścić choć w jakiejś historyi literatury musiałeś się z nim spotkać?“

Młody chłopak cicho mruknął.

„Czytałem...“

„Taka to bywała owa młodość nieco dzika, ale gorąca, żywa, chciwa wszystkiego... chciwa życia i nauki, książki i kwiatków, koni, polowania, widoków niezwyczajnych, ludzi wielkich... Wy, moi drodzy, w piętnastu leciech jesteście odczarowani, wyżyci, niczego nie ciekawi, sceptycy... ani łzy w was, ani uśmiechu...“

Spojrzał ksiądz na siostrzeńca siedzącego z miną zasępioną na ławce, a widząc, że i te słowa jakoś rozbudzić go nie mogły, spytał:

„Cóż masz za plany i projekta na te ferye?“

„Ja?“ powoli i cicho rzekł Julian „właściwie feryi mieć nie będę — chciałbym pospieszyć z egzaminami, a więc roboty ogrom, a i do rozprawy przygotować się muszę.“

„Dla czego tak bardzo spieszyć?“ zapytał ksiądz po chwili. „Nauka, moje dziecko, ma to do siebie, że, by się w człowieku mocno usadowiła, potrzebuje czasu. Co prędko się nabywa, ulatuje też żywo i później ślad nie pozostaje ciężkiéj pracy i tych podwalin gruntownych, które budowę dźwigać powinny.

„Czego się spieszyć? Będąc tobą, jeszczebym rok przeciągnął studya uniwersyteckie...“

„Spieszę się kochany wuju,“ odpowiedział Julian, „choćby dla tego, ażeby wam nie być ciężarem...“

Ksiądz ruszył ramionami i popatrzał na młodzieńca z prawdziwem współczuciem.

„Julku mój, odezwał się, nigdyś mi ty ciężarem nie był, robię dla ciebie, com powinien i mogę. Dzielę się z tobą moim chlebem razowym i uczciwą miernością. — Tém mniéj to kosztuje, że jestem duchownym, że potrzeb nie mam, że ten chleb mój to chleb ubogich braci... a ja dla siebie nie wymagam więcéj nad to co Bóg dał...“

„Ja ci powiem Julku — jaka jest przyczyna, dla któréj ty spieszysz... Niemam ci tego za złe, jest ona w części uczciwa i szlachetna, a zresztą tętni w niéj puls naszego wieku. Nikt nie jest już wolen od jego zarazy. Spieszysz się, bo ci doskwiera niepomiernie mierność, ubóstwo, bo chcesz własnego a dostojniejszego chleba. Grzechem to nie jest, gdy bez krzywdy cudzéj a w pracy własnéj się go zdobywa... ale moje dziecko! na to krótkie życie człowieka dla czego koniecznie potrzeba wam tak wiele?“

„Ja niewiem,“ dodał chodząc zwolna po ganku „wy wszyscy teraz tacy jesteście spaleni tą żądzą nabywania, która jest w gruncie nie tyle może pragnieniem użycia jak chęcią panowania... Wiecie że pieniądz królem i autokratą, chcecie go mieć aby przezeń rozkazywać...“

Julek jakoś nieochotnie się tłumaczył, popatrzał na wuja i począł nieśmiało.

„Ale kochany wujaszku“ rzekł, „to dobrze jest, kto czuje w sobie powołanie duchowne, przestawać na małém; na świecie inaczéj.“

„Tak, prawda, na świecie inaczéj, lecz nie przeto lepiéj, przerwał wuj żywo, dawniéj między życiem świata a plebanii była tylko różnica potęg a nie charakteru, dziś między dwoma światy naszemi — przepaść. — Myśmy słudzy Chrystusowi, wy Baalowi słudzy... my dzieci ewangelii, wy filozofii poronione chłopięta... Co tu począć na to... Czujemy niestety, aż nadto, że wydzieleni, odosobnieni, pozostaliśmy czemś martwem i bez możności wpłynięcia na społeczeństwo... bo mówimy innym językiem i w imie prawd innych, które dla was zestarzały, choć są wiekuiście młode i świat do nich powrócić musi...“

„Ja się wcale z wujem kochanym w dysputy wdawać ani chcę ani mogę“ odparł Julek... „na co mamy te kwestye poruszać...“

Ksiądz stanął, popatrzał, wziął w ręce głowę siostrzeńca i pocałował go — uśmiechając się.

„Widzisz moje dziecko — i to znamię wieku, niechcieć dysputować nawet... Ja gdym miał twoje lata, chrypłem od gorączkowych rozpraw, tyś sceptyk, fatalista — powiadasz sobie — księdza nie nawrócę, on mnie nie przekona, po co gębę studzić! nie prawdaż?“

Julek się roześmiał.

„A co? nie tak? nieprawda, młody filozofie?“ dorzucił wesoło. „No, dobrze... mówmy o czém innném... Przypuszczam żeś uniwersytet dokończył, egzamina zdał, stopień osięgnął a nawet się wydoktoryzował — co daléj?“

Bystro zamienili spojrzenia. Julek wstał z ławki jakby iskrą jakąś wewnętrzną zażegnięty.

„Tu niema co robić!“ zawołał, „doktorów mnóstwo, kraj ubogi — albo pojadę do Rosyi albo do Ameryki...“

Ksiądz zamilkł i po chwili rzekł znowu:

„Gdybyś mi był powiedział, że o chlebie i wodzie do Ameryki lub do Rosyi chcesz jechać, dla studyów, dla nauki nowéj, dla odkryć! o mój Boże! przyklasnąłbym, ale w twoim wieku myśleć już o zbieraniu grosza, o sprzedawaniu tego co tylko co nabyłeś... o opuszczeniu kraju... To smutne...

„Jam zawsze myślał, że ty tu sobie u nas w miasteczku osiądziesz. Doktora blizko nie mamy, apteka jest, chorych pełno... Praktykę na chleb wystarczającą miałbyś pewnie, dworek byś sobie najął, potém mógł i kupić i żylibyśmy tu cicho, święcie po bożemu... przykładnie... a ja, miałbym pociechę na was patrzeć...“

„Ale kochany wuju... jabym tu zardzewiał!“ zawołał Juliusz, „zapomniałbym wszystkiego...“

„Dla czego? książki mieć możesz! do Berlina mógłbyś pojechać śledzić każdą nowość i wynalazek, praktyk byś miał i na wsi poddostatkiem... nierozumiem! Albożto złe towarzystwo, ja, matka, nasz światek ubogi a poczciwy, no — i dwory szlacheckie i pańskie...

„Nie! nie! ty bo chcesz koniecznie robić fortunę.“

Julek się roześmiał.

„A gdyby?“

„Po mojemu, moje dziecko, byłbyś na fałszywéj drodze,“ odparł ksiądz. „Kiedy się pracą zdobędzie grosz, dobry jest, wiele nim pożądanego i dobrego uczynić można... ale niemieć innego celu w życiu, i to tak za młodu, nad robienie grosza — fałszywy kierunek... To owa mythologiczna beczka Danaid do napełnienia. A no — dość, dość,

bo ja cię chcę kochać a nie sprzeczać się z tobą. Wy dzieci waszego wieku, biedne, biedne jesteście..."

Słońce się chyliło ku zachodowi... ksiądz Piotr przypomniał sobie wieczorny brewiarz i poszedł szybko do sąsiedniego pokoju, wynosząc go z sobą już rozłożony na nieszporném nabożeństwie.

„Przepraszam cię, muszę mój brewiarz odmówić... zatém do zobaczenia... pochodzę w ciszy moich starych drzew na cmentarzu i pomodlę się..."

Już zchodził z ganku, gdy się jakby myślą poruszony odwrócił.

„Widzisz," rzekł, „co to między nami za różnica... ty się pewnie uśmiechasz z téj mojéj regularnéj, do godziny przywiązanéj modlitwy, wy tego także nierozumiecie, że dusza ciągle spętana tego życia kałem i prozą, potrzebuje pokarmu modlitwy, godziny, w któréjby się podniosła wyżéj ku nieśmiertelnym rzeczom... Hygiena duszy, mój doktorze, wymaga tego... jest to jakbym z zadusznéj izby wyszedł na świeże powietrze..."

Uśmiechnął się do milczącego Julka i żywym krokiem poszedł, otwierając blizką furtkę na przyległy cmentarz pod kościołem.

Julek zamyślony, podparty na łokciu, siadł na ławce, oczy wlepił w miasteczko, które ztąd prawie całe widać było i zadumał się.

Niedano mu jednakże długo tu pozostać samemu... Drożyną od miasteczka wiodącą szedł powoli mężczyzna otyły, w okularach, niemodnie ubrany, ale z pewnym wykwintem, znać człek zamożny. Może téż idąc do plebanii trochę się i przybrał, bo strój był nadto świeży na codzienny, kapelusz popielaty jak z igły, kamizelka pikowa biała, a na palcu ręki, któréj brakło rękawiczki, ogromny sygnet połyskiwał, rodzący podejrzenie, że go dla powagi z szufladki dobyto.

Fizyognomia tego przychodnia kazała się w nim domyślać bardzo praktycznego człowieka; twarz była myśląca na chłodno, roztropna, oczy bystre, usta zwężone i nie obiecujące zbytniej szczeroty... Kroczył zamyślony i posyłał wejrzenia na wszystkie strony, jakby rozmierzał plac boju. Szedł wolno, niekiedy nawet zatrzymując się i ważąc może co ma mówić i jak się znaleźć powinien. Odbijało się to w całéj postawie, która to pokorną się stawała, to nieco siebie pewniejszą. Bystre oko postrzegło znać w ganku siedzącego Juliana, który bodaj myślał się cofnąć zobaczywszy gościa, ale już było za późno... Ruszył się tylko na ławce i z wyrazem zafrasowania i przymusu pozostał.

Równocześnie prawie, gdy już na ganek wchodził ów jegomość, z plebanii wyszła nie młoda, bardzo ubogo i skromnie ubrana kobieta, z wyrazem słodyczy i szczęścia na twarzy... Pierwsze jéj wejrzenie padło na chłopaka i kroki zaraz skierowała ku niemu, lecz nim zdołała przemówić, na pierwszym schodku ze zdjętym kapeluszem, ocierając łysinę stanął gość i uśmiechając się pozdrowił głośném

„Dobry wieczor! państwu dobrodziejstwu! a! i pan Julian!"

Otworzył ku niemu ręce obie, jakby do uścisku... Julek wstawszy powoli poszedł jedną z tych dłoni po angielsku ująć dosyć obojętnie. — Staruszka postąpiła także i powitała go.

„Jak się tam pan ma, panie Ostójski... czy zdrów? czy zdrowi wszyscy?"

Dziękuję serdecznie... bardzo dziękuję, do nóżek upadam... a ksiądz Kanonik?"

„Mój brat przy swoim brewijarzu, to jego godzina, a téj on dla nikogo w świecie nie opuści..."

„Dawno pan Juljan przyjechał? Nic nie wiedziałem?"

„Wczoraj! wczoraj! jeszcześmy się nim nacieszyć nie mogli, nagadać z nim nie mieli czasu.... Siadaj że pan, kochany panie Ostójski..."

Wciąż uśmiechając się do pana Juljana, gość przysiadł na ławce — Juljan był niewiadomo czém trochę pomięszany i posępny.

„Coś mi pan Juljan nie wyśmienicie wygląda" — rzekł przybyły, „mizernie, blado... to te powietrze miejskie nic nie warte .. wędzi człowieka... tu u nas na wsi, odżywi się i odrumienieje."

„To nie powietrze," podchwyciła matka, „ale nauka! nauka! Co téż oni pracy mają! On się nią zamęcza, to poczciwe, dobre chłopczysko nasze, chciałby i co prędzéj nauki skończyć i nie dać się nikomu wyprzedzić..."

„Ale tu u nas książki precz... i odpocząć trzeba," przerwał Ostójski — „tak! tak! my tu pana rozruszamy i rozbawimy..."

„Gdybym ja na to czas miał," odezwał się jakimś głosem niepewnym Julek, „ale ja choć na ferye przybyłem, stosy ksiąg i papierów musiałem przywieźć z sobą... a pracować mi trzeba może więcéj niż w mieście..."

„Ale pfe! co znowu! co znowu!" oburzył się Ostójski, „na to nie pozwolimy... ani pani dobrodziejka, ani ksiądz Kanonik... ani ja... jako stary przyjaciel domu."

Julek skłonił się dziękując, ale dodał zaraz...

„A kiedy mus"...

„Jak to się ślicznie składa" niby nie słysząc tego dodatku, odezwał się Ostójski „ja nic nie wiedząc o przybyciu kochanego pana Juliana szedłem tu prosić księdza kanonika i panią dobrodziejkę na obiadek do mnie, na łyżkę barszczu... Nie spodziewałem się, że będę miał tak miłym gościem jednym więcéj."

To mówiąc podszedł i w obie szerokie dłonie ujął rękę młodzieńca, który kłaniał mu się zakłopotany. Odmówić nie było sposobu, a widocznie przyjmować nie bardzo miał ochotę.

W téj chwili z za otwierającéj się furtki dał się słyszeć głos Kanonika...

„Kochanego pana Józefata... witamy. Jak się masz stary? jak się masz! widzisz... doczekaliśmy się Julka... widzisz... Po twarzy matki można to poznać było z daleka, a sądzę że i po mojéj. Ja též, choć się z nim zawsze kłócić muszę, ale go kocham bardzo."

Uścisnęli się z panem Ostójskim serdecznie.

„Jak się masz stary! powtórzył proboszcz — co u was słychać! "

„Cóż może być słychać oprócz kłopotu gospodarskiego... rzekł Ostójski, gdyby nie na plebanią, nie wybrałbym się

z domu, taka teraz robota w polu... człek być musi nie odstępnie, bo za oczami“...

Machnął ręką.

„No — ale chwała Bogu, dobrze?“ spytał Kanonik...

„Tak, ani źle ani dobrze — odezwał się ręką gładząc łysinę stary — jakoś się tam wlecze“...

„Inaczéj na świecie nie może być!... uśmiechnął się ks. Kanonik... a co się tyczy obiadu — dodał, mój dobrodzieju — wiesz, ja zawsze sobie waruję jedno — jeźli może dokąd nie zawołają... bo, obowiązki przedewszystkiém.“

„To się rozumie...“ kłaniając się szepnął Ostójski.

„Chorych mamy dosyć... bo to tu zimnice panują i przechodzą w różne gorączki nie dobre,“ mówił Kanonik... „umiera ludzisków dosyć, rodzi się też nie mało, Bogu dzięki... no! i nie próżnujemy“...

Gdy to mówili, w ganku nagle zjawiła się postać nowa, od któréj jakby chłodem śmiertelnym powiało. Zobaczywszy ją w progu, wszyscy oniemieli, wesoły ton rozmowy nagle się urwał... Ostojski nawet spoważniał... Po cichu wszedłszy, bo nikt nie słyszał go idącego, stał z miną pokorną ale kwaśną, żółty, suchy, chudy, mizerny mężczyzna młody jeszcze, nie miléj twarzy, na któréj wyraz jakby niechęci, zazdrości jakiéjś i szyderstwa tajonego się malował. Można było odgadnąć na pierwsze wejrzenie, iż stosunki jego w tym domu nie były zbyt przyjazne, acz jawnie poufałe i blizkie być musiały. Oparł się o stół i oczy spuściwszy stał z zaciętemi wargami.

Typ to był człowieka zrodzonego do martwienia siebie i drugich, który do życia potrzebował walki, sporu... ujadania się, opozycyi. Czarne jego oczy małe latały niespokojne niedając się schwytać, bojaźliwe razem i pełne złośliwości... w ustach skrzywionych jad i gniew zdawał się skryty. Młode czoło całe było już pomarszczone, a jakaś namiętność czy wewnętrzna męczarnia pofałdowała mu twarz i koło ust poorała krzywe drogi, którędy gniéw drgające muskuły pościągał.

Samo przybycie księdza Wikarego, gdyż on to był — wywarło przykre na wszystkich wrażenie, rozmowa się przerwała, oczy skierowały ku niemu, czekano w milczeniu jakiemś odezwania się jego; domyślając że darmo nie przybył. —

„Niech ksiądz Leon siada“ rzekł Kanonik...

„Nie mam czasu siedzieć“ odezwał się głosem suchym ks. Wikary, „przybyłem tylko oznajmić księdzu Kanonikowi, że do chorego jestem wezwany...“

„Mogę i ja jechać...“ rzekł żywo Kanonik...

„Stara Stachowa życzyła sobie bym ja przybył,“ odparł spuszczając oczy Wikary.

„Jeżeli sobie życzyła.“

Ksiądz Kanonik się zbliżył do mówiącego, który zniżył głos i po cichu coś znim poszeptawszy z przesadną pokorą, schylił się do jego ręki i co najprędzéj wyszedł. —

Wszyscy lżéj odetchnęli. —

Ostójski posłał za nim wzrok i poruszył głową...

„Żebyś się pan prędzéj wydoktoryzował,“ rzekł cicho do Juljana, „a wyleczył ks. Wikarego z téj żółci... bo to taki człek chory...“

Kanonik udał że nie słyszy, matka Juljana także, przyszły lekarz się uśmiechnął... zadzierzgnięta w ten sposób rozmowa nie poszła daléj — Ostójski popatrzał po wszystkich i zamilkł. W chwilę potém kapelusz wziął ze stoła i zabierał się do odejścia. —

„A no! więc — czekam z obiadkiem,“ odezwał się kłaniając i rękę podając z kolei „o godzinie pierwszéj waza na stole... Czekam sercem i rękami otwartemi...“

Kanonika pocałował w ramię, panią siostrę w rękę, Julka może miał ochotę w twarz, ale medyk zdala tylko dłoń uścisnął. —

Potém szybkim krokiem ruszył pan Ostójski z plebanii do miasteczka... Ksiądz za nim długo popatrzywszy, westchnął i ująwszy znowu swój brewijarz wszedł do wnętrza...

(C. d. n.)

NA POBOJOWISKU.

Chłód go nocny powrócił do życia
I otworzył swe oczy powoli...
W około ciemność — słychać jakieś wycia,
Jakieś jęki — coś go w piersiach boli...
Z bolem pamięć powraca leniwa,
Rozpoznaje z dreszczem niepokoju,
Że na ziemi wilgotnéj spoczywa
Gdzie upadł w boju!

Rozpoznaje przez mgieł kłęby sine
Ciemnie kształty rzucone w nieładzie,
Co zasłały do koła równinę
Pojedyńczo leżąc, lub w gromadzie,
Rozpoznaje stosy nieforemne,
Z których czasem straszny jęk wybucha,
I ze zgrozą patrzy w niebo ciemne,
Patrzy i słucha.

Coś się ruszy — coś tam zaszeleści;
To znów słychać rżenie, lub chrapanie,
Głosy dzikiéj nieludzkiéj boleści,
Coś upadnie — coś ze ziemi wstanie,
A szmer każdy w nocnéj ciszy rośnie,
Olbrzymieje trwogą, wstrętem, bolem,
I w powietrzu jęczy wciąż żałośnie
Nad krwawem polem.

Czasem ptaki załopoczą skrzydłem,
I na ziemię, w pobliżu przypadną,
Żerowaniem zajęte obrzydłem...
On się wstrząsa przed wizyą szkaradną;
Choć odważny a przecież się lęka,
Że niedługo, może już nie zdoła
Spędzić ptastwo — nieruchoma ręka
Z martwego czoła.

Mgła mu oczy powoli zasłania...
On sam nie wie: czy to rosa ścieka
Po źrenicach? czy też mrok konania
W noc go cichą na zawsze obleka?
Lecz że życie boleścią się mierzy,
A w swych piersiach czuje bolu żmiję,
Mimo cieniu grobowego wierzy,
Że jeszcze żyje!

Żal go dławi — pragnienie go piecze,
Dreszcz śmiertelny członki mu przejmuje,
Krew uchodzi — z nią życie ucieczе...
Lecz on jeszcze słyszy — myśli — czuje...
Jeszcze wzrokiem powłóczy po ziemi,
Po postaciach leżących w ciemności,
Jeszcze szemrze usty spieczonemi:
„Biedna ludzkości!“

Jeszcze myślą błądzi wśród ciał stosów,
Których losy niedługo podzieli,
I zagadka smutnych ludzkich losów
Tu na krwawéj trwoży go pościeli.
„Biedna ludzkość!“ — powtarza i wzdycha,
„Co ją pędzi na straszne rozdroża?
„Co ją gwałtem z łąk kwiecistych spycha
„Pod ostrze noża?“

„Sława?... miłość dla ziemi rodzinnéj?...
Parcie ducha któremu za ciasno?
Czy przeczucie jakiejś, lepszéj, innéj
Doli ludów, krwią kupionéj własną?
Czy nienawiść, szał, lub przesąd lichy
Zaszczepiony starannie za młodu?
Czy pojęcie wielkości i pychy
Swego narodu?“

„Czy też zwykła bierność, brak oporu,
Ślepy nałóg, ślepe posłuszeństwo?
Jakieś widmo tęczowe honoru,
Co zasłania dzikie okrucieństwo?
Może wszystko, może wszystko razem
Pchało naprzód te zastępy zbrojne,
Co zmiecione ogniem i żalazem
Leżą spokojne.“

„Biedna ludzkość! — Wieluż z nich wiedziało
Jaką przyszłość toruje i komu?
Czy śmierć będzie ich klątwą, czy chwałą?
Kto skorzysta z klęski lub pogromu?
Czy nad nocą ich własnéj zagłady
Nowe ducha zabłyśnie świtanie?
Czy się raczéj nie zalęgną gady
W otwartéj ranie?“

„Ten kto może ginąć z pełną wiarą,
Że umiera za ludu swobody,
Że krwi swojéj serdecznéj ofiarą,
Zbawi w więzach jęczące narody,
Że ojczyznie cierpiącéj otworzy
Nowe drogi szczęścia i spokoju...
Ten usypia jako sługa boży
Po krwawym znoju.“

„Lecz kto ginie jako niewolnik marny
Zawleczony za włosy przemocą,
I rzucony pod topór ofiarny
Nic nie wiedząc, dla czego i po co?
Kto upada bez pociechy czystéj,
Że szedł bronić tego co mu drogiem...
Ten ze skargą na sąd wiekuisty
Stanie przed Bogiem.“

„I Najwyższy nie dozwoli Sędzia:
Aby odtąd już na ojców grobie,
Nasze dzieci jak ślepe narzędzia
Uzbrojano na śmierć przeciw sobie;
Aby miały z myślą rozpaczliwą
Rzucać znowu życia blask różowy,
Że zwiększają przyszłe nieszczęść żniwo
W proch kładąc głowy.“

Tak się żali swego serca raną,
Przed tém niebem pochmurnem i głuchem,
I swą ziemię wspomina kochaną
Gdzie nie wróci, chyba tylko duchem
I wspomina matkę co się dowie,
Że nie ujrzy więcéj syna swego...
„Biedna matka! Święci Aniołowie
Niechaj ją strzegą!“

Dom rodzinny staje mu przed okiem...
Taki jasny, wdzięczny, uśmiechnięty,
I tak ludny złotych mar natłokiem,
I tak pełen najmilszéj ponęty.
Szczęście, miłość, żony postać słodka
Przesłonięta smutkiem i tęsknotą,
I ta mała w kołysce szczebiotka,
Co już sierotą!

Znowu oczy zaszły łzą, czy rosą;
Gdy w tem nagle zdala blask spostrzega,
Jacyś ludzie — w ręku światło niosą;
Pewnie pomoc dla rannych przybiega.
„To ratunek — szepcze — to ratunek!
„Może jeszcze będę ocalony,
„I po słodki wrócę pocałunek
Matki i żony!“

Z utęsknieniem wita światło owe
I chce wołać i wzywać pomocy,
Lecz do koła słychać jęki nowe,
I głos jego ginie w ciemnéj nocy.
Światło miga, tu owdzie wśród zielska,
A gdzie przejdzie tam ucichną jęki...
Pewnie ręka litości anielska
Łagodzi męki.

Aż przed sobą przy świetle latarni
Ujrzy twarze — widziadła gorączki...
Niby ludzie — lecz nadto poczwarni,
Chcą mu z palców pościągać obrączki...
Widzi obok — jak dłoń świętokradzka
Z ciał zabitych smutne łupy zrywa,
I jak rannych dobija z nienacka
Grabieży chciwa!

Ten ohydny widok śmierci dreszczem
Ścina piersi rannego żołnierza,
Wzrok martwieje przed widmem złowieszczem,
Głowa martwa o ziemię uderza.
Tylko ciało kurczowo się wzdryga
Na straszniejsze nad grób okropności...
I westchnienie na ustach zastyga
„Biedna ludzkości!“

El...y

Historya o dwóch parach zakochanych i o połowie trzeciéj

podsłuchana i spisana przez

Józefa Narzymskiego i Władysława Sabowskiego.

Nawet najzazdrośniejsi chcąc niechcąc przyznać musieli, że panny Sydońskie są ozdobą Pleszewskiego powiatu. Długowłosy i długobrody pan Henryk, który podobno nawet wiersze pisywał czasem (co się w naszém księstwie rzadko komu, Bogu dzięki, zdarza) przyrównał je raz do dwóch róży: białéj i ponsowéj, i porównanie to, przez młodzież obecną zostało uznane za doskonałe, a przez panią Idalję za poetyczne.

Jakoż piękne to były stworzenia te panny Sydońskie za owych, ma się rozumieć czasów, gdy się ta powiastka zaczyna, bo dziś, szarpnięte zębem czasu, (styl wspaniały) musiały się zmienić trochę.

A co było w ich piękności najdziwniejszego, to to, że choć siostry rodzone, wcale do siebie podobne nie były, i każda z nich stanowiła typ zupełnie osobny.

Starsza, Halinka, miała włosy krucze, oczy jak węgiel, brwi jak sztychowane tuszem, nosek zadarty, usta dość duże, płeć śniadą, z owym tonem różowym, który każe się domyślać krwi zdrowéj i gorącéj.

Młodsza, Julia, była jak puch łabędzi biała, włosy jéj miały ten kolor mieniący się, niby płowy niby złoty, jakby kto len pomieszał ze złotogłowiem. Wielkie jéj błękitne oczy patrzały smętnie i tęskno, nosek miał profil grecki.

Halinka była drobna, filigranowa, wesoła, dowcipna, trzepocząca się, Julia wysoka, wysmukła, poważna, spokojna, prawie melancholiczna. Obie stanowiły kontrast rażący, a przecież dopełniały się nawzajem, każda z nich osobno wzięta, była bardzo ładną, obie razem stanowiły niejako dwie strony medalu piękności kobiecéj.

A jednak te miłe dziewczęta dawno już odbyły obłóczyny, to jest, krótkie sukienki zamieniły na długie, wiele już karnawałów odtańczyły, wielu sąsiadkom towarzyszyły do ołtarza, a ciągle przecież rutkę siały i siały...

Łatwo zgadnąć, dla czego tak im się z hymenem nie wiodło. Nie było posagu i kwita...

Ojciec naszych bohaterek był sobie szlachcic jak wielu, nie marnotrawca i nie rozrzútnik, ale też broń Boże nie z takich co grosze robi. Niby to on i pracował, i ruszał się i kręcił koło gospodarstwa, ale jak się okazyjka zdarzyła to i w miasteczku puknął sobie ze znajomymi, i u siebie sąsiadów przyjął porządnie. Słabością zaś jego był preferans. Nie grywał drogo, ale był w stanie grać trzy doby bez przerwy, choćby po pół feniga. Dla partyi preferansa gotów był w największą zawieję lecieć choćby pare mil drogi, gdy siedział przy stoliku, mogły się i gumna spalić i dach nad jego głową zapaść, on licytował daléj.

Zdawałoby się, że poświęcony tak jednéj namiętności, pan Aureli Sydoński powinien był przynajmniéj w téj głębokiéj materyi zostać specyalistą. Gdzież tam! Nikt gorzéj, niedołężniéj od niego nierozgrywał nieszczęśliwéj puli, nikt częściéj siebie samochcąc nie pakował w płatki, a innych niewypuszczał. Teoretykiem był on znakomitym. Niewyczerpany w rozprawach nad prefesansowemi kombinacyami, dowodził logicznie i mężnie, ale gdy przyszło teorye te zastósować, p. Aureli głowę tracił i bąka za bąkiem strzelał, a potem dziwił się sam sobie.

I pod tym względem ojciec pięknych dziewcząt miał na świecie niesłychanie wielu pobratymców, a w naszéj Polsce więcéj jak gdziekolwiek. Jakiżby to świat był piękny, jaka nasza Polska silna, szeroka, bogata, gdyby każdy umiał teoryę stósować do życia, gdyby miał ten spryt, tę umiejętność, to à propos, jak Francuzi zowią, by to co zrobić należy, zrobić w porę i wtedy właśnie gdy potrzeba. Niestety! większość ludzi na świecie, a dziewięc dziewiątych w Polsce ma ten tak zwany po francuzku l'esprit d'escaliers, to jest, że mu na schodach przychodzi na myśl co powinien był przed godziną powiedzieć w salonie.

Ale wracajmy do naszego szlachcica. Owóż p. Aureli grał dużo w preferansa, a grał źle i dość nieszczęśliwie. To mu wyrządzało potrójną krzywdę, bo zabierało wiele czasu, dom narażało na wydatki i przyjęcia, a wreszcie w budżecie zapisywało sporą sumkę przegranéj rocznéj.

Że zaś wioska była nie wielka i w lekich gruntach, a przytém trochę obdłużona, więc koniec końcem, niełatwo było związać i zamiast gotówki w biórku przybywało w miasteczku wekselków a intabulacyi w hypotece. Wiedziano o tém powszechnie, a wiedzieli przedewszystkiem kandydaci do stanu małżeńskiego, którzy w naszém zwłaszcza księstwie umieją takie rzeczy doskonale obliczać.

Wprawdzie, po śmierci rodziców zostawała wioska na dwie dziewczęta. Było to coś, ale to coś w dalekiéj przyszłości. Papa trzymał się doskonale, a mama wyglądała między córkami jak trzecia róża,... dajmy na to żółta... W każdym razie nie było nadziei, żeby mąż Julii lub Halinki wraz z żoną dostał przyzwoitą porcyą tego, co się w Królestwie nazywa gotiu, w Galicyi papierkami, a w Księstwie po chłopsku bitemi, a bez tego, zarówno w Królestwie, w Galicyi jak w Księstwie, nikt się dziś nie żeni, jak to dobrze każdemu wiadomo.

Nic więc dziwnego, że i nasze przyjaciółki wegetowały w stanie panieńskim.

Gdybyśmy przypuszczali że powiastkę tę czytać będzie który z paniczów, mogących swoją nauką uszczęśliwić jaką Halinkę lub Julkę, rozwinęlibyśmy tu szeroko całą grozę jaka się mieści w tém wyrażeniu: „wegetowały w stanie panieńskim,“ a jeżeli ma odrobinę serca, zapłakałby ze wzruszenia i kazałby natychmiast czwórkę do kocza zaprzęgać.

(D. c. n.)

GAWĘDY Z MIASTA.

I.

Drogi Władziu!

Czy pamiętasz Ty jeszcze te pełne ułudy czasy naszéj wiosennéj młodości, kiedy „gwałtem" władzy szkólnéj przeniesiony z Poznania do Trzemeszna, nudząc się śród téj małéj mieściny i narzekając na parafialność jéj towarzystw, zakląłeś mnie na przyjaźń, od seksty nierozerwalnie nas łączącą, bym Ci przesyłał z Wielkopolskiéj stolicy co najmniéj tygodniowe sprawozdania o pożyciu tego gronka kolegów, co w owym czasie stanowili crême sekundy i prymy ad Stam Mariam Magdalenam; bym Ci pisał o jéj przygodach szkólnych i zabawach, o ploteczkach, jakie po salonach poznańskich kursują, o teatrze pana Pfeifra i o innych wielce ciekawych sprawach dla tak emancypowanego, jak Ty nim byłeś, sekundanera? — Czy pamiętasz Ty jeszcze, z jakiém upragnieniem wybiegałeś co sobotę o dziesiątéj rano w czasie pauzy na plac przed gmachem Kosmowskiego, by z rąk listonosza odebrać moje tygodniowe orędzie, i z jaką rozkoszą odczytywałeś moje gawędy w czasie, gdy zacny profesor napróżno starał się przekonać niewdzięcznych uczniów, iż stokroć gorzéj zaiste, pouczać niesfornych chłopaków, aniżeli kamienie tłuc na szosie? — Czy pamiętasz wreszcie, jaką przejmowało Cię grozą i oburzeniem, gdy ja przypadkiem zaspawszy godziny lub zniewolony cały czas wolny poświęcić odom Horacego, by nie ściągnąć na siebie przydomku „barbarzyńcy" od tyle szanowanego przez nas „Acana", spóźniłem się z listem i pozostawiłem Cię bez nowin o „wieczorku tańcującym" u pani A. lub B. i o ostatnim występie panny Micińskiéj albo pana Miłaszewskiego? —

Ale zkądże — zawołasz i słusznie — te wszystkie zapytania, zkąd to wywoływanie wspomnień chwil, niepowrotnie ubiegłych? — Pozwól drogi Władziu! bym Ci natychmiast mógł się wytłómaczyć.

Wszakże Ci wiadomo, przyjacielu, że po wielu przygodach życia, po przehuczeniu najróżnorodniejszych burz nad mojém młodzieńczém czołem, przybiłem do przystani najniewdzięczniejszego u nas zawodu, zawodu literackiego. Porzuciwszy mrzonki, oddałem się pracy pióra, która mało w Polsce donośna, tém więcéj jest przykrą, iż u nas każdy rodzi się krytykiem, a choć sam nigdy niczego nie napisał, bez litości umie nicować piszących przy kawie u pp. Pfitznera lub Sobeskiego, przy porterze u p. Luzińskiego, przy kufelku stutenfeldzkiego vel kobylepolskiego piwa u p. Kurowskiego, wreszcie przy pieniącym kielichu Moeta u nieporównanego „Kalchasa". Dość na chwilę wstąpić do tych przybytków towarzyskiego w Poznaniu pożycia, by się wyleczyć z żyłki pisarskiéj. „Co za niegodziwy ten nasz Dziennik!" wykrzykuje jeden; „co za lekkomyślność redakcyi w téj adresowéj mistyfikacyi" — woła drugi; „A Sobótka, jakież to lichoctwo!" — wrzeszczy trzeci, a za nimi odzywa się cały chór surowych krytyków i każdy na wyścigi ciska kamieniem na biednych redaktorów. Mimo to, wierzaj mi Władziu, że prawdziwém jest przysłowie: Czego się skorupka za młodu napije, tém na starość trąci. Otóż mimo wszelkich cierni, jakiemi stan literata naszpikowany, fraszka sarni cąber na festynach ślubnych u p. Magnuszewicza w Bazarze, nie mogę się odczepić od tego nałogu częstego pisywania, do którego już od ławy szkólnéj tak gorący czułem popęd, że mnie nieraz pan profesor Ustymowicz chwytał na uczynku, iż zamiast rysowania nakazanego trójkątu, gryzmoliłem urywane notatki do przeznaczonych dla Ciebie sprawozdań. Piszę więc wciąż, a jakkolwiek nie mogę dotąd się szczycić powodzeniem ani pochlebną wzmianką w Tygodniu drezdeńskim, przecież zdarzy się czasami, że ten lub ów przyjaźnie uściśnie mi rękę, poprosi o wzmiankę o baranach swéj zarodowéj owczarni, szepnie tajemniczo o pięknéj toalecie swéj żony lub córki na ostatnim balu, wspomni niby z niechcenia o mówcę, jaką miał na powiatowém zgromadzeniu rólniczém, lub napomknie o broszurce, któréj, mówiąc w sekrecie, jest rzeczywistym autorem…

Do szczupłéj liczby łaskawszych na mnie mecenasów literatury ojczystéj, należy także przypadkiem nasz poznański Brockhaus, czyli pan Mieczysław Leitgeber i Spółka. Mąż ten, ukrywający w szczupłém ciele wielkiego ducha a zasłużony Wielkopolsce przedewszystkiém porodzeniem Sobótki, pierwszego od lat wielu illustrowanego pisma w naszém Księstwie, szczególniejszemi zawsze zwykł mnie otaczać względami. Przed kilku dniami przychodzi zatém na trzecie piętro do mego kawalerskiego mieszkanka i po powitalném ucałowaniu obu moich policzków, w ten sposób uroczysty a dźwięczny odzywa się do mnie:

— Panie! Są chwile w życiu ludzkiém, gdzie solidarność jest nieodzowną, by uniknąć katastrofy nakształt sedańskiéj. Katastrofa taka grozi memu pierworodnemu dziecięciu — Sobótce. Wódz, co gromił w roku 1863 szeregi Moskali, dziś godzi na życie tego pisklęcia. Po jego boku stoją dzielni rycerze lutni, wykarmieni mlekiem warszawskiego Parnasu. W zwartym szyku sposobi się daléj straszna rezerwa, z najznakomitszych piór naszych złożona. Z pierwszym stycznia 1871 roku pańskiego zagrzmi hasło do walki a na sztandarze, który nad nieprzyjacielskim powiewa obozem, napisano:

Śmierć niedołężnéj Sobótce,
Niech żyje dziarski Tygodnik Wielkopolski!

— Byćże to może?! — zawołałem przerażony.

— Jakto? więc Panu niewiadomo, że już odbyto nawet chrzciny nowonarodzonego dziecięcia, które bynajmniéj szpetnie nie wygląda… Dwadzieścia i cztery mów i 24 gąsiorów węgrzyna, obok odpowiedniéj liczby natchnionych „improwizacyi" przy dźwięku fortepianu i kielichów uczciło ten ważny wypadek, któremu i Dziennik — ten poczciwy nasz Dziennik, co wszytkich kocha a nikomu nie szkodzi — poświęcił kilka słów gorącego wspomnienia…

Milczałem zdumiony…

— Czy Pan tedy pojmujesz — mówił daléj skłopotany p. Mieczysław Leitgeber i Spółka — jaka burza niepokoju miota mą piersią, jak drżę o los méj ukochanéj dzieciny, co uśmiechając się mile acz niewinnie, znalazło już tylu przyjaciół i wstęp do wszystkich niemal pałaców, domków i zagród Wielkopolski? Miałożby być z nich dzisiaj fortelem wyparte? Nie, na to nigdy nie pozwolę, wolałbym raczéj, jak mój Spólnik najcięższe pod Metzem ponosić trudy. Potrzeba mi wszakże sojuszników, by nie zginąć jak mąż z pod Sedanu Więc gdziekolwiek w szerokiéj naszéj ziemicy odszukać mógłem jaką gwiazdę literacką, zawezwałem ją na pomoc, by światłem swém ozdobiła mą Sobótkę; sprowadziłem zdala wybornego drzeworytnika, by upiększył zewnętrzne jéj szaty, wzmocniłem siły jéj przewodników i tyle już dokazałem, że od Nowego Roku ukaże się światu nie jako dziecię maleńkie, ale jako rozkwitająca we wdzięki dziewica… Panie, czy chcesz ze mną zawrzeć alians odporno-zaczepny, czy podjąłbyś się strojenia choć raz na miesiąc falbanek bogatéj szaty méj córy?

— Ależ Panie Mieczysławie, zbytek zaszczytu…

— Dajmy pokój frazeologii — przerwał natarczywie zniecierpliwiony ojciec Sobótki — tak lub nie?

— A więc przejdźmy do prozy. I czegoż szanowny mecenasie, żądasz odemnie?

— Pragnę od pana feletonu, coś na wzór miesięcznéj kroniki naszego wielkomiejskiego żywota w rodzaju listów nieodżałowanéj pamięci Wojtusia, lub tryskających dowcipem i żółcią teatralnych przeglądów „Nie Lambdy" czy „Nielyka" w Dzienniku.

— Wyborna myśl, Panie Dobrodzieju, ale jéj wykonanie — to dla mnie rzecz niepodobna. Nie śmiałbym nigdy drapać się na Wojtusiowe wyżyny, a przygoda pana Nie Lambdy w czasie pobytu artystów hr. Skorupki w Poznaniu, wyleczyła mnie radykalnie z wszelkich zachcianek dowcipkowania. Zresztą brak mi i talentu pierwszego i dowcipu drugiego z wskazanych mi wzorów. Przysięgam Panu, że zrobiłbym haniebne fiasco.

— Mniejsza o to, zrobimy próbę. A wreszcie, przyznam się Panu otwarcie, nie mam chwilowo nikogo innego w pogotowiu. Gdy nadciągnie moja rezerwa, Pan cofniesz się z zaszczytnego stanowiska forpocztowego na drugie pole, lub zamianuję Cię „jeneralnym gubernatorem" korrekt Sobótki. Będzie to une retraite honorable,

któréj przykłady mieliśmy nawet w czasie wojny obecnéj. Top? — zapytał w końcu z uśmiechem p. Mieczysław, wyciągając prawicę.

— Top! — odrzekłem z rezygnacyjném westchnieniem — i otóż jestem prowizorycznym kronikarzem Sobótki.

* * *

Nie chciałbym się liczyć do tchórzów, mój Władziu, ale wyznać Ci muszę, że po wyjściu pana M. Leitgebra i Spółki opanowała mnie ogromna obawa, jak tu wywiązać się z honorem z ciężkiego zadania, które mimowolnie niemal na me barki przyjąłem. Pełen dręczących myśli wybiegłem z domu na miasto.

Pędziłem przez aleje, mijając bez zatrzymania się na chwilę, najurodziwsze córy Poznania, używające zwykle o téj godzinie przechadzki. Zaledwiem w roztargnieniu zdołał na czas ukłonić się dwom przepysznym ciemno-zielonym, obramowanym popielatém futerkiem paltocikom, które z angielską powagą obok uroczego wdzięku kołysały się zwolna obok swéj mamy; potrąciłem niebacznie dwóch piesków... faworytów małżonki męża, co niegdyś kierował u nas lejcami opinii publicznéj; nie dosłyszałem nawet głosu zacnego pana Starkowskiego, który wołał za mną, że według najnowszéj wiadomości, jaką otrzymał z świerszczowego, nieomylnego źródła, hr. Bismarck ofiarował Napoleonowi III koronę wskrzeszonéj przez Prusy Polski, — i dziwnym zbiegiem okoliczności stanąłem wnet na wzgórzu Ś. Wojciecha, na którém tylokrotnie w naszéj młodości czerpaliśmy świeże powietrze i natchnienie...

Nic się tu odtąd nie zmieniło... Ten sam, zawsze wyświeżony staraniem księdza Bażyńskiego kościółek, patrzał na mnie z boku, zdala świeciły jak dawniéj śród blasku zachodzącego słońca krzyże obu wież katedry, bieliła u dołu puchem śniegu owionięta łąka a po lewéj czerniły szczyty winiarskiéj cytadeli... Tylko zamiast wspaniałych topoli, co otaczały drogę od W. Garbar ku Szelągowi wiodącą, smętnie sterczały ich pnie skarłowaciałe siekierą, tylko na wałach twierdzy tu i owdzie powiewał dumnie zwycięzki czarnobiały sztandar a garstka zgłodniałych i znużonych całodzienną pracą jeńców francuzkich posuwała się w milczeniu wijącą się ku „Kernwerkowi" ścieżką... Towarzyszący tym nieszczęśliwym żołnierze odpychali kolbami gromadkę polskiéj dziatwy, która z okrzykami: „Bonjour Monsieur!" chciała biedaków uraczyć papierosami i bułeczkami. Słyszałem, jak wrzeszczeli: „Fort du verfluchte polnische Kanaille!.." i popadłem w tém głębsze zadumanie...

O dziwna potęgo wspomnień młodości! Ilekroć pochylonego burzami życia ogarnie jaka tęsknota lub troska pomarszczy mu czoło, aliści te lube widziadła spieszą zewsząd na złotych skrzydełkach i oplatają wieńcem woniejących kwiatków załzawione serce... Cokolwiek miłego zaznał śród ciernistéj wędrówki na ziemskim padole, wnet mu się uśmiecha tak słodko, i z tak powabnym uporem rozpędza otaczające go czarne chmurki zadumy, iż mimowolnie poczyna rozpogadzać oblicze, zapomina o teraźniejszości i z rozkoszą ulatuje duszą w lepszą przeszłość...

Więc i ja doznałem niebawem téj dobroczynnéj ulgi.. Z kolei przesuwały się przedemną, jak w magicznéj latarni, obrazki z ubiegłéj młodości: stanęła nasamprzód przed oczyma zielona wioska z białym domkiem, w którym spędziłem dziecięce lata, i ten drewniany kościółek, otoczony wieńcem topoli i jodeł, w którym pierwsze do Boga wznosiłem modlitwy; daléj majaczyły wesoło rozmaite sceny szkólne, figle pensyonarskie i koleżeńskie przygody... aż w końcu ujrzałem jak na jawie dwóch młodych, pyzatych chłopaczków, gwarzących swywolnie i zdążających z splecionemi ramiony wprost ku mnie na wzgórze Ś. Wojciecha... Poznałem ich twarze i głosy... Byliśmy to obaj — Ty Władziu, i ja — ale jakże odmiennie wyglądaliśmy od dzisiejszych naszych postaci!.. Wrzała w nas młodość, gwiazda niczem niezakłóconéj swobody jaśniała na czole, oczy promieniały wiarą i nadzieją...

Ocknąłem się i klasnąłem w dłonie... Znalazłem, czegom szukał. Wspomnienie naszéj szkólnéj przyjaźni przywiodło mi na myśl moje listy z Poznania do Ciebie w Trzemesznie. Otóż mam formę, w jaką przyoblekać będę moje gawędy w Sobótce — zawołałem radośnie. Wskrzeszę napowrót dawne nasze duchowe węzły i dzielić będę odtąd moje myśli i wrażenia z Tobą, jak niegdyś, z tą tylko różnicą, że moja korespondencya nie spocznie w Twéj tece, ale przejdzie drukiem do potomności i uwieczni jeśli nie moje płody, to przecież naszą przyjaźń... Będę Ci kreślił obrazki wielkich mężów, jakich codziennie tutaj napotykam, i pięknych kobiet, na które mimo podeszłego wieku dotąd, li z artystycznéj przyjemności, patrzeć lubię; zapoznam Cię z naszém stoliczném życiem codzienném, wprowadzę do teatru, do salonów prywatnych i do miejsc publicznych, wpadnę czasami do sali bazarowéj i do obu Towarzystw Przemysłowych; uchylę Ci nieraz zasłony buduarzyków, i nie pominę żadnéj wesołéj, byle nieszkodliwéj ploteczki, — słowem wszelkiego dołożę starania, byś ukochany grykosieju, po całodziennych trudach i znojach mógł wieczorem ukołysać się moją gawędą do snu, wolnego od czarnych widziadeł...

Otóż masz nareszcie wytłómaczenie zagadki, którą Cię zaintrygowałem na wstępie. A teraz dość na dzisiaj. Bywaj zdrów, drogi Władziu, módl się za powodzenie Sobótki i jéj kronikarza, a niezadługo prześlę Ci wiązkę nowin z Poznania wraz z kilku tuzinami karnawałowych pączków od Sobeskiego dla twéj dziatwy, jeśli przypadkiem osobiście po nie nie przybędziesz do Poznania z okazyi świetnego koncertu, który w tym miesiącu, jak wieść niesie, urządza „Królowa wielkopolskich hrabin" w Bazarze na cel dobroczynny.

Toujours le Même.

Szarada.

Pierwsze drugie wyżywia i zbogaca ludzi,
Trzecie czwarte jest kamień, który blaskiem łudzi.
Wszystko chociaż niejest krwawe,
Często wielką sprawia wrzawę. —

(Rozwiązanie szarady w Nr. 52: ***Natalia.***)

Korespondencye Redakcyi.

Panu X. Y. Z. na Prowincyi: Za wiadomości przesłane serdecznie dziękujemy. Komunikowanie podobnych faktów, daje naszemu Gawędziarzowi z Miasta, materyał do opracowania bogaty. Upraszamy więc tak Szanownego Pana, jak i innych życzliwych pismu naszemu, o wspieranie Gawęd z Miasta wiadomościami, mającemi związek z życiem towarzyskiem i społecznem prowincyi naszéj. — Listy w tym celu adresować należy — Do Redakcyi Sobótki — dla wręczenia Gawędziarzowi z Miasta. Pannie Elizie Eterni, w Galicyi: Nieprzypuszczaliśmy, by w takiem oddaleniu, kwestyą tą interesowano się. Tant mieux. Pamięć, pracę dowcipną i dobre Jéj chęci wysoko cenimy. Panu Onufremu z Edenu: My patrząc na to bliżéj, tembardziéj się dziwimy. — Są to fajewerki wilgocią przesiąkłe. Zatlone ogniem, pojedyńcze iskry wydają, ale promienną gwiazdą nigdy się w niebo nie wzniosą. — Manuskrypt pod adresem wskazanym przesłaliśmy. Pani E. A. i Pannie B. R. w Kle. pod Br.: Życzenia na Rok-Nowy przesłane Redakcyi i Pismu, sprawiły nam prawdziwą przyjemność; stokrotnie za nią dziękujemy. — Dokładamy wszelkich starań, by te życzenia usprawiedliwić, by Sobótka przyniosła łaskawym czytelnikom swoim to wszystko, co w liście Pań jest wyrażone.

Od Wydawnictwa.

*Przy nowem ulepszeniu **Sobótki,** upraszamy naszych abonentów, o życzliwe jéj popieranie w kołach znajomych.*

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Spółki. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel.)

III. Rok. 1. Zeszyt.

SOBÓTKA.

TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

ROK III.

ZESZYT PIERWSZY.

CENA 5 SGR. — W GALICYI 35 CENT.

POZNAŃ.
NAKŁADEM MIECZYSŁAWA LEITGEBRA I SPÓŁKI.

1871.

Do naszych Czytelników.

Wydawana naszym nakładem „Sobótka“ rozpoczyna obecnie trzeci rocznik. Wydawcy nie szczędzą ni kosztów ni zachodów aby ulubione to pismo odpowiedziało wymaganiom i życzeniom ogółu.

W tym celu zawiązaliśmy stosunki z najpierwszemi siłami literackiemi naszego kraju. Panowie: **J. I. Kraszewski, Dr. K. Libelt, A. E. Odyniec, Pol, K. Ujejski, Wł. K. Wojcicki, J. Zacharyasiewicz,** że pominiemy inne nazwiska, są naszymi współpracownikami. Najbliższe numera Sobótki zawierać będą prócz powieści **J. I. Kraszewskiego** pod tytułem **Pałac i Folwark**, nowellę **Wol. Skiby** i **Narzymskiego,** powiastkę pióra Pani **Potworowskiéj** z angielskiego, **Opowiadania o naszych zwyczajach K. W. Wojcickiego,** Opis Warszawy, pod tytułem **„Warszawa dziś i wczoraj“** tegoż autora. **Poezye i Podróże artystyczno-literackie A. E. Odyńca**. Rozprawę **„O powieści i jéj znaczeniu w literaturze“ Bolesławity, Podróże J. Gordona** itd. Nadto: **Przegląd ruchu literacko-artystycznego pióra Bolesławity, Kronikę miejską i prowincyonalną, Recenzye teatralne i Przegląd bibliograficzny,** a baczni na zewnętrzną stronę Sobótki, urządziliśmy dla niéj **zakład drzeworytniczy**, którego artystyczny kierunek obejmuje p. **Baranowski.**

Ktokolwiek przejrzy, przeczyta ten zeszyt „Sobótki“ ten się przekona, że jest nie tylko najtańszém ale i najlepszém pismem czasowem.

Każdy zeszyt sprzedaje się osobno po 5 sgr., w Galicyi po 35 x.

Prosimy o polecenie naszéj Sobótki w kole przyjaciół i znajomych.

Poznań, w Styczniu 1871.

Mieczysław Leitgeber i Sp.

Wydawcy Sobótki.

Treść I. zeszytu: